**№ 21.**

**Bióro Redakcji** przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści beletrystycznej.




Warszawa, dnia 12 (24) Maja 1871 roku

**ROK VII.**

**Serja Druga.**

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda **Hösicka**, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu* u **Budkiewicza** księgarza.



## KARÓL SZAJNOCHA.

Karól Szajnocha, jeden z najznakomitszych naszych pisarzów historycznych, prawdziwa ozdoba nowszé literatury, przyszedł na świat r. 1818 w Galicyi, w Komarnie, w obwodzie Samborskim. Prawdziwe nazwisko jego ojca było *Szejnocha*. Był to Czech z rodu, lekarz wojskowy a późniéj sędzia dominalny, jeden z tych licznych urzędników Czechów, którzy zapełniali posady rządowe w Galicyi. Ożeniwszy się z polką, Maryją z Łozińskich, ojciec Szajnochy zrósł się z krajem w którym osiadł, a dzieci jego już nie umiały po czesku. — Młody Karól odebrał staranne wychowanie; nauki pobierał w gimnazyum w Samborze, a późniéj we Lwowie i już kończył prawie kurs gimnazyalny, gdy niespodzianie drobny napozór wypadek, poczytywany mu za wielkie przewinienie, zamknął mu drogę do dalszego kształcenia. Okoliczność ta zamykała mu zarazem wstęp do wszelkiego urzędu, co go jeszcze bardziéj skłoniło do poświęcania się zawodowi literackiemu, do którego zawsze czuł wielki pociąg. — Straciwszy wcześnie ojca, musiał myśleć o utrzymaniu siebie samego, a poczęści swojéj rodziny, na co jedynie mógł zdobywać środki przez mozolne dawanie lekcyj we Lwowie, przyczém nadzwyczaj wytrwale pracował nad literaturą i nauką. Pierwsze próby jego były treści poetycznéj. Były to wiersze liryczne, pełne nieraz wdzięku i rzewności, choć może wadliwe formą — i powiastka „Romans na własne oczy widziany" umieszczane w *Dzienniku Mód* Kulczyckiego. Późniéj Szajnocha zaczął pisywać drobne artykuły i poezye do *Gazety Lwowskiéj* a w r. 1843 wystąpił z dramatem w 4 aktach prozą p. t. *Stasio*, drukowanym w piśmie zbiorowém *Gołąb' pożaru*. Dramat ten przedstawiony niezwłocznie na scenie wywołał zaciętą polemikę między Dziennikiem Mód a Gazetą Lwowską i Orędownikiem Poznańskim. Napisany w duchu szalonéj literatury francuzkiéj, pełen był błędów psychologicznych i naciąganych efektów, mimo to miał wszelkie zalety stylowe, które rokowały niezwykły talent. Chociaż ta pierwsza próba naraziła autora na ostrą krytykę i prędko upadła na scenie, niezrażony jednak pracował daléj na tém polu i napisał kilka dramatów: *Zonię*, *Panicza* i *Dziewczynę* i *Wojewodziankę Sandomierską* (Marynę Mniszech), które, wyjąwszy kilku ustępów, pozostały w rękopiśmie i podobno sam autor zniszczył je potém. — Zostawszy współpracownikiem *Czasopisma Biblioteki Ossolińskich*, Szajnocha obok ustępów ze wspomnionych wyżéj dramatów, umieszczał tam drobne artykuły historyczne, jak np. *Pogląd na ogół dziejów Polski*, *Obyczaje pierwotnych Słowian*, *Literaturę czasową w Polsce* i inne, z których niektóre umieszczone zostały późniéj w *Szkicach historycznych*.



Karól Szajnocha.

Z prac wydanych osobno, do działu poezyi, należą: mały poemacik wierszem o *Janie III. w tumie św. Szczepana*, który Bartoszewicz chwali, i dramat: *Jerzy Lubomirski*, który jakkolwiek wadliwy, świadczył o wielkich studiach przygotowawczych ze strony młodego autora.

Artykuły historyczne w Czasopiśmie Biblioteki Ossolińskich, wprowadziły Szajnochę nieznacznie na właściwe dlań pole. Nie można powiedzieć żeby do poezyi, którą niebawem całkiem porzucił,

nie miał wcale zdolności; wszystkie jego prace świadczą o tém że posiadał gorące uczucie i twórczą fantazyą, dwa niezbędne żywioły poetycznéj działalności, i żywioły te niemało mu się przydały w pracach historycznych, czyniąc go zdolnym do nadawania żywéj i obrazowéj formy opowieściom dziejowym. Na tém polu Szajnocha wystąpił z nowym rodzajem pisania, z *historyą artystyczną*, historyą opowiadającą fakt żywo i zajmująco, w którym to rodzaju pisania wsławili się już u Anglików Macaulay a u Francuzów Augustyn Thierry, Amadeusz Thierry i Michelet. Do niego mieliśmy tylko krytykę faktów i suche ich opowiadanie; on pierwszy pokusił się mazajkę umiejętnie ułożoną z faktów krytycznie zbadanych pociągnąć barwistą powłoką i tchnąć życie w budowę z suchego materyału wzniesioną. I on wprawdzie nie dał nam całkowitego obrazu naszych dziejów, gdyż na to zbyt mało było jeszcze u nas prac przygotowawczych; to też nie kusił się nawet o to, — pragnął tylko w pełnych życia i prawdy opowieściach przedstawić nam główne chwile historyi. Zaczął tedy od wydania r. 1849 większego dzieła p. t. *Bolesław Chrobry*, przedstawiającego z zupełną ścisłością nauki a obok tego z całym poetycznym wdziękiem, czyny sławnego króla, poprzedzone krótką opowieścią panowania poprzednika jego Mieczysława I. Dzieło to przyjęte było z zapałem i zyskało odrazu uznanie i u krytyki i u publiczności. Niezadługo pojawiło się drugie dzieło: *Pierwsze odrodzenie się Polski* od r. 1250 — 1333. Wśród téj pracy objął r. 1852 redakcyą nowozałożonego *Dziennika Literackiego*, lecz po roku ustąpił ją Felicyanowi Łobeskiemu, objąwszy posadę kustosza w Zakładzie naukowym Ossolińskiego, na któréj to posadzie zajął się katalogiem dzieł polskich w bibliotece i prowadził korrektę drugiego wydania Słownika Lindego. Praca nad nowém dziełem historycznem zajęła mu sześć przeszło lat czasu. Napotkał tu bowiem zarówno wiele nowych i ważnych kwestyj, jak zarazem i bogactwo materyału. Dzieło to p. t. *Jadwiga* i *Jagiełło*, wyszło w 3 tomach między r. 1855—57 i zostało rozkupione z niesłychanym zapałem. Drugie wydanie powiększone znacznie, wyszło w r. 1861 w 4 tomach.

Pracując nad większymi utworami, Szajnocha podejmował chwilowo i drobniejsze szczegóły historyczne, a monografie o nich umieszczał w pismach czasowych, wydając je potém osobno w *Szkicach historycznych*, których za życia autora wyszło 3 tomy, a czwarty ukazał się po śmierci. Szkice zyskały niemniejsze uznanie niż poprzedzające prace. Rzeczywiście, są to, jak powiada Bartoszewicz, *brylanciki* literatury. Opowiada on tu najrozmaitsze szczegóły, np. dzieje św. Kingi (Kunegundy) i pierwszych tatarskich napadów, historyą „matki Jagiellonów" Elżbiety, żony Kazimierza Jagiellończyka, wnuki Jana III, żony Jakóba Sztuarta pretendenta, — daje obraz najść Tatarskich i okropnego jassyru, gdzie jęczało tylu chrześciańskich niewolników,—Polski szląskiéj z XIII wieku, Kazimierza W. i t. d. W niektórych szkicach wyjaśnia krytycznie zagadkowe i zaciemnione kwestyje, jak np. dowiódł, że autorem niedawno odnalezionego poematu p. t. *Wojna Chocimska*, nie jest ani Jędrzéj Lipski, ani Achacy Pisarski, ale Wacław Potocki, autor Syloreta i Argenidy.

W r. 1855 Szajnocha pojął za małżonkę Joannę Bielińską, osobę wielkich cnót domowych, która później była prawdziwym aniołem opiekuńczym dla autora, ciężką niebawem dotkniętego niemocą. Od młodości swéj Szajnocha w skutek nadzwyczajnéj pracy, przechodzącéj nawet granice rozsądnéj dbałości o zdrowie, cierpiał na osłabienie wzroku, które z czasem rozwinęło się w nieuleczoną ślepotę, tak, iż żadne środki lekarskie zapobiedz jéj nie były w stanie.

Mimo gasnącego wzroku, Szajnocha nie przestał pracować; nie porzucił on pracy i wtedy nawet, gdy r. 1860 zupełnie ociemniał, a pracował z pomocą żony i najętego lektora, bo praca nad historyą była dla niego koniecznością życia. W tym czasie wydał *Lechicki początek Polski*, gdzie podjąwszy myśl Czackiego o związku prawodawstwa polskiego ze skandynawskiém, wyprowadza szlachtę naszę (lechów) od *lagów* normańskich. W bajecznych Leszkach i Popielach widzi on władców z obcego plemienia, których panowaniu dopiero reakcya słowiańskiego pierwiastku, osadzająca Piastów na tronie, kres położyła. Tę z góry powziętą myśl Szajnocha stara się poprzeć najrozmaitszymi dowodami. Lecz dowody te, zwłaszcza językowe, na chwiejnéj oparł podstawie, dla tego też przypuszczenie autora nie przyjęło się w nauce i upadło. Mimo to szczegóły pojedyncze w tém dziele mają niekiedy nieocenioną wartość, zwłaszcza znakomite charakterystyki Słowian i Normanów, w dodatkach pomieszczone. Do ostatnich prac Szajnochy należy pierwszy tom *Opowiadań o Janie III.* noszący tytuł: *Mściciel*, gdzie kréśli obrazy ofiar wojen Tureckich: Żółkiewskiego, Zamojskiego Tomasza, Daniłowicza i w potomku ich po kądzieli Jakóbie Sobieskim, zwycięzcy z pod Chocima, widzi ich mściciela. Pierwotnie dzieło to miało objąć w 8 tomach całą epokę Jana III, ale skończyło się na tym jednym tomie, który pod względem wykonania, gorącém przenikniętego uczuciem, jest prawdziwém arcydziełem.

Ostatnie dzieło Szajnochy p. t. *Dwa lata dziejów naszych 1646—1648* daje nam poznać w nowém całkiem świetle Władysława IV i jego szerokie plany względem Turcyi, które rozbiły się o stronniczość polityczną magnatów i nieufność szlachty. Praca ta, którą miał zamiar prowadzić daléj, zamierzając skreślić postać Jana Kazimierza, podkopała ostatecznie jego zdrowie, już i tak strasznie nadwątlone. Zmarł d. 10 stycznia 1868 r. Na pogrzebie cały Lwów uczcił pamięć zmarłego historyka, a po pogrzebie komitet, pod przewodnictwem Leona ks. Sapiechy, utworzył stały fundusz imienia Karola Szajnochy, obracany dziś na utrzymanie po nim wdowy i jedynaka syna, a później przeznaczony na zasiłki dla zasłużonych autorów.

*Bronisław Grabowski.*

---

# NIEPIŚMIENNY.

(GAWĘDA LUDOWA.)

I.

Ja nie zazdroszczę, chowaj mię Boże,
Nic i nikomu na bożym świecie;
Jednego tylko zazdroszczę może,
Że wy panowie pisać umiecie.
Dajcie mi pióro i kartę białą,
Nauczcie piórem wodzić w potrzebie!
Tożby latało, tożby latało,
Jak błyskawica po ciemném niebie!
Wszystko, co boli, co cieszy szczerze,
Co sam obaczę, co mi kto powie,
Wszystkobym wiernie kładł na papierze,
Dumka po dumce, słowo po słowie.
Spisałbym widok bożego świata,
Każdy tak piękny, każdy odmienny;
A teraz wszystko marnie ulata,
Bom nieuczony, bom niepiśmienny.

II.

Spisałbym naprzód piękne sny moje,
Bo czasem cudnie przyśnić się zdarzy:
Kiedy zobaczę śliczną dziewoję,
Albo aniołów o jasnéj twarzy.
Spisałbym potém ptaszął słóweczka,
Ranne skowronka *Zdrowaś Maryja*;
Wydałbym pismem, co mówi rzeczka,
Gdy się w kamykach pianą rozbija?
Co mówi z wiatrem kłosista niwa,
Co ryczą woły, jak beczą stada,
Jak dzwon kościelny ludzi przyzywa,
A potém mrucząc sam z sobą gada?
Jak kowal młotem bije w kowadło,
Jak młynarz grzmoce w rozszczep kamienny,
Wszystkoby wiernie spisać wypadło.
Pożal się Boże! jam niepiśmienny!

III.

Jakie rozkosze! jakie rozkosze!
Umieć wypisać słowo po słowie,
Co marzę w myślach, co w sercu noszę!
Karta zrozumie, piórko wypowie.
Ludzie gotowi wyśmiać biedaka,
Nie zrozumieją, serce ci zranią;
A czasem dumka przychodzi taka,
Że i słów żadnych nie znaleźć na nią.
Jabym poprostu jak serce puka,
Takbym i pisał na białéj karcie:
Pukanie serca złowić nie sztuka,
Ludziom nie można mówić otwarcie.
Pióro wyskrzypi z pod serca mowę,
A papier milczy jakby mur ścienny...
Dumki—gołąbki, bywajcie zdrowe!
Ja was nie schwycę—jam niepiśmienny.

IV.

Łatwiéjże panom, łatwiéj żydowi,
Szczęśliwi w sądach biegli pisarze;
On swoje dumki na papier złowi,
A potém z ludźmi co chce dokaże.
Ja—daj mi piórko, naucz niém władać,—
Kiedy na kartę wszystko wyłożę,
Gdy moję nędzę poczną powiadać,
To twarde serca skruszyłbym może.
Spisałbym z tego bez żadnéj zmiany,
Książkę modlitew, taką jak kramną,
A tam i Chrystus ukrzyżowany,
Możeby łezkę wyronił za mną.
Gąsko, ty gąsko! ja latem paszę,
Ja ciebie karmię w porze jesiennéj!
Daj mi twe piórko! daj skrzydło wasze!
Toż to polecę, człek niepiśmienny!

*Władysław Syrokomla.*

# PANI GEORGE SAND.

## (Jerzy Zand).

OBRAZEK.

(*Dokończenie*).

Pani Sand jest prawdziwą wielbicielką muzyki, a osobliwie muzyki klassycznéj; z nowymi kompozytorami bynajmniéj nie sympatyzuje i oświadcza głośno, że wszystkie opery Verdego niewarte są jednego menueta Mozarta.

Mówiono wiele o teatrze w Nogańsknim zamku, ale nikt jeszcze słówka nie powiedział o etykiecie, jaka jest przywiązana do każdego w tym teatrze widowiska. Spektatorowie obowiązani są przychodzić tam nieinaczéj, jak w paradnym stroju; jeżeli się zdarzy że cała publiczność składa się z saméj tylko gospodyni, to i w tedy p. Sand przybywa do teatralnéj sali w najkosztowniejszym swoim ubiorze. W dziennych godzinach wolnych od pracy literackiéj zajmuje się szyciem kostiumów dla swoich artystów; całą nawet garderobę dla swego reżyssera P. Ballandara sporządziła własną swą ręką.

Czasami salon jéj przystraja się z wielkim przepychem. Na takie wieczory galowe rozsyłają się zaproszenia do wszystkich okolicznych miejscowości. Wynajęte w *Chatre* omnibusy przywożą zewsząd gości na widowiska i potém ich do domów napowrót odwożą. Przyjemność nielada dla tych, co lubią jeździć i bawić się cudzym kosztem. Takie wieczory obudzają najżywsze zajęciem, tém szczególniéj, że grywane tam są nigdzie jeszcze niedrukowane dramatyczne utwory saméj p. Sand i znajomych jéj w tymże rodzaju pisarzy.

Pani Sand rzadko wyjeżdża ze swojéj posiadłości. W *Chatre* bywa nie więcéj jak dwa albo trzy razy do roku. Ma ona swoję lożę w miejskim teatrze, a kiedy do niego przybędzie, to podprefekt i mer przenoszą się zwykle do drugiego rzędu. Odebrawszy pewną wiadomość że p. Sand ma być w teatrze, nie podnoszą zasłony, aż do czasu jéj przybycia, chociażby to o całą godzinę spóźnione było; na co jednak publiczność bynajmniéj się nie uskarza. Stawiają wtedy zwykle przy saméj scenie jakiego malca, który za ukazaniem się pani Sand podejmuje natychmiast brzeg kurtyny i woła na całe gardło do artystów „*przyjechała!*" wtedy dają sygnał potrójném w bęben uderzeniem i rozpoczynają uwerturę.

Z tych drobnych, ale dość dokładnych szczegółów domowego i towarzyskiego życia pani George-Sand, można przyjść do pewnego wniosku, że ona, przy wielkich prerogatywach szczytnego swego talentu, odznaczając się w bliższych z ludźmi stosunkach prostotą, skromnością i rzadką dobrocią serca, nic nie utraciła z tych przymiotów, które stanowią prawdziwą zaletę dobrze wychowanéj kobiety.

II.

Nie koniec na tém. P. K. Rollina, wielki miłośnik i głęboki znawca klasycznéj muzyki, tak mówi o swoim pobycie w Noganie przed dwudziestu laty, co także zdaje mi się nie będzie rzeczą dla naszych czytelników obojętną.

Pisze on, że znając zbliska Liszta i Szopena nigdy nie był tak zachwycony ich grą mistrzowską, jak wtenczas, kiedy wraz z nimi gościł u p. *George Sand*. Było to latem r. 184. w Noganie, w zamku *du Berry*, który panuje nad miejscowością zwaną *Czarna dolina* (*La vallée noire*) pomiędzy *Chateauroux* i *La Chatre*. Mnóstwo zjechało się artystów i lubowników różnego rodzaju. Oprócz Szopena, który do ostatniéj chwili swego życia w serdecznym zostawał związku z gospodynią, i Liszta, do którego przylgnęła całą swą poetyczną duszą perła paryzkiéj arystokracyi, cudnéj piękności, margrabina Arabella, była tam znakomita śpiewaczka *Viardo Garzia*, z mężem swoim, był sławny malarz Eugeniusz *Delacroix*, był wielki aktor *Bocage* i t. d. i t. d. Gościom zostawiona była zupełna swoboda: kto lubił polowanie, miał na swoje usługi wszelką broń i sfory ogarów; dla amatorów rybołóstwa były gotowe łodzie i sieci; dla spacerów przepyszny ogród. Każdy robił to co chciał. Liszt i Szopen zajmowali się kompozycyą, Viarda studiowała swoję rolę z *Proroka*, gospodyni pisała nowy romans i t. d. O godzinie szóstéj schodzili się wszyscy do wielkiéj sali na obiad, a rozchodzili dopiero o drugiéj albo trzeciéj po północy. Ale zwróćmy się do tego, co pan Rollina o wielkiém swojém wrażeniu muzykalném oświadczył.

Szopen grał rzadko i pozwalał siebie słuchać wtenczas tylko, kiedy był pewnym, że zagra doskonale. Za nic w świecie nie odważyłby się zagrać jako tako, miernie. Liszt przeciwnie, źle czy dobrze, gotów był grać na każde wezwanie.

„Wyobraźcie sobie najpiękniejszą noc majową, kiedy księżyc toczy się po niebie, w całéj swéj okazałości, a powietrze napojone wonią róż i rezedy roznosi wokoło miłośne słowików melodye. Otoż w taką noc, między 11 a 12 godziną, całe towarzystwo pani Sand zebrało się w wielkiéj sali. Okna były otwarte. Liszt zasiadł do fortepianu i zaczął grać *Nocturno* Szopena. Grał jak zwyczajnie, po swojemu, to jest, przyozdobiając je trelami i tremolami, których w oryginale nie było. Szopenowi oczywiście to się nie podobało; krzywił się, gryzł wargi, wreszcie do ostatka zniecierpliwiony, zbliżył się do fortepianu i powiedział Lisztowi z flegmą, prawdziwie angielską: „Słuchaj, przyjacielu, jeżeli mi wyświadczasz ten zaszczyt, że grasz jednę z moich kompozycyj, to proszę ciebie, graj tak, jak ona napisana, albo graj co innego, bo tylko Szopen może poprawiać Szopena."

— No, to grajże sam, bąknął Liszt, wstając nieco nadąsany.

— Zgoda, powiedział Szopen.

W téj chwili wleciała ćma przez okno i zgasiła lampę. Chciano ją znowu zapalić, ale Szopen zawołał:

— Nie trzeba, owszem, pogaście wszystkie światła, dla mnie dość będzie światła księżyca.

I zaczął grać. Grał całą godzinę bez przestanku, ale jak grał..!

Pan Rollina, z ręką na sercu, które mu na samo wspomnienie téj gry *prestissimo* w piersiach kołatać zaczęło, powiada, że nigdy ucho ludzkie nic podobnngo nie słyszało. Że melodyja i harmonija tryskające z duszy wielkiego naszego artysty, nietylko aniołów ale samego nawet Boga oczarowaćby mogły. Słowiki umilkły, by słuchać téj boskiéj muzyki. Dość powiedzieć, że tego wieczora sam Szopen zadowolony był grą swoją, co mu się rzadko zdarzało. Kiedy skończył, wszystkie oczy były łez pełne. Liszt ledwie dyszał. On też pierwszy zerwał się z miejsca i pochwyciwszy Szopena w swoje objęcia zawołał: „O mój przyjacielu! tyś prawdę powiedział: utwory takiego geniusza jak twój, powinny być za świętość uważane; naruszać ich całość w czémkolwiek, to grzech śmiertelny, to świętokradztwo! Tyś prawdziwy poeta, a ja, ja prawie kuglarz."

— Żartujesz, odpowiedział Szopen, różne są rodzaje mistrzowstwa w sztuce, to rzecz wiadoma. Nikt w świecie nie potrafi tak zagrać jak ty grasz Webera i Beethovena. Proszę cię, zagraj mi *adagio ut-diez* Bethowena, ale zagraj serio, zagraj tak, jak ty możesz, kiedy zechcesz.

Liszt najchętniéj skłonił się do téj prośby i całą potęgą swego artyzmu zagrał owe *adagio*. Wtedy znowu w sercach słuchaczy wezbrały silne, brzemienne łzami uczucia. Płacz ogólny, płacz połączony z jękliwém szlochaniem rozlegał się po całéj sali, ale nie były to już te ciche, łagodne łzy, które wydobywał Szopen swoją melodyą. Były to, jak mówi Otello, okrutne, tyrańskie łzy. Melodya Liszta nie wkradała się zwolna i sympatycznie do serca, ale gwałtem, jak sztylet wdzierała się do niego. Po owém pełném słodyczy wrażeniu, tęsknotą wiejącéj elegii, był to okropny efekt krwawego dramatu.

Szopenowi zdawało się, że on tego wieczora zaćmił zupełnie Liszta i nawet pochwalił się z tém przed gospodynią domu, mówiąc: „jakże go to ubodło" Liszt dowiedział się o tém od Arabelli — i, jako odznaczający się niepospolitym dowcipem, postanowił zemścić się za tę przechwałkę. Oryginalnego sposobu

użył do téj zemsty. Czwartego dnia potém, kiedy towarzystwo p. Sand zebrało się znowu w wielkiéj sali, o téj saméj porze, to jest o godzinie 12 w nocy, Liszt zaczepił Szopena z prośbą, aby co zagrał; ten opierał się dosyć długo, ale nakoniec uległ naleganiu. Liszt zażądał, ażeby znowu pogaszono wszystkie świece i zasłony na okna spuszczono. Była to fantazya artysty, która zaspokojona natychmiast, pogrążyła wszystkich w ciemności. W téj saméj chwili kiedy Szopen chciał usiąść przy fortepianie, Liszt powiedział mu coś na ucho i zajął jego miejsce. Nie domyślając się bynajmniéj żadnego podstępu, Szopen usiadł cichutko na krześle obok niego. Wtedy Liszt, jakby nieswojemi rękami poruszył klawisze i zaczął grać to samo, co grał Szopen na owym znakomitym wieczorze, przed trzema dniami. Grał rozumie się doskonale, ale co najdziwniejsza, naśladowanie swego współzawodnika w metodzie, stylu i najdrobniejszych odcieniach gry jego, posunął do takiéj tożsamości, że niepodobna było nie być w błąd wprowadzonym i rzeczywiście też wszyscy zostali oszukani. I kiedy wybuch rzewnego zapału rozległ się w całéj sali, Liszt drasnął fosforem o pulpit i zapalił stojące na nim świece.

— Jakto, zawołali wszyscy z zadziwieniem, więc to pan grałeś?

— Widzicie przecie, że nie kto inny siedzi przy fortepianie.

— Ależ pan grałeś cudzemi rękami! myśleliśmy że to Szopen grał!

— Cóż ty na to powiesz? zapytał Liszt swego rywala.

— Powiem to samo, co i wszyscy, odpowiedział Szopen, ja także myślałem, że to gra Szopen.

— Widzisz więc, powiedział Liszt, wstając z krzesła, że Liszt może być Szopenem, kiedy zechce, ale czy Szopen potrafi być Lisztem?

Było to niejako uroczyste wyzwanie, którego jednak Szopen nie chciał, czy nie śmiał przyjąć i Liszt był zupełnie zemstą swoją zadowolony.

Czasami grywano komedye albo dramy *improwizowane*. W zamku był najgustowniéj urządzony teatr, z kompletną do niego garderobą. Obmyślano tylko treść dla sztuki i akcyę na sceny podzielono, a zresztą każdy aktor powinien był improwizować swoję rolę. Liszt i Szopen składali orkiestrę. Dwa fortepiany z prawéj i lewéj strony ustawione i zakryte firankami, były zajęte przez obu artystów, którzy obowiązani byli jednocześnie prawie wnikać w głąb' toczącéj się akcyi i razem stosowne do niéj tworzyć przygrywki. Tu znowu p. Rollina przyznaje się do nieudolności, chcąc oddać wrażenia swoje ze słyszanéj w czasie tych popisów muzyki. Obaj artyści niepospolitą obdarzeni pamięcią, z niesłychaną zręcznością chwytali ze znanych im włoskich, francuzkich i niemieckich oper, stosowne motywa, i rozwijali je z takim zapałem, z taką potęgą obudzonego współzawodnictwem natchnienia, że wreszcie ze sceny, gdzie także cudów dokazywano, wołano do nich płaczliwie: „Dosyć już, dosyć dla Boga! tyle klejnotów artyzmu tak marnie przepada!"— Szlachetne te rozrywki literaturą, poezyą i muzyką zasilane, kończyły się zwykle wspaniałą, z najwybredniejszych przysmaków złożoną, wieczerzą.

Po tém, co się tutaj dorywczo skreśliło, p. Rollina oświadczywszy, że wspomnienia tego lata spędzonego w rajskiéj stolicy p. Sand mogłyby mu dostarczyć treści na kilka tomów, zakończył swój artykuł szczegółowym opisem czarodziejskiéj, wśród ciszy nocy czerwcowéj, zabawy, na Czarnéj dolinie, w takiém miejscu, którego echo po trzykroć i czterykroć powtarzało każde głośno wymówione słowo. Urok doprawdy musiał być nadzwyczajny, kiedy to echo drażnić zaczęli tacy artyści, jak Szopen, Liszt i Viardo Garzia!

Do ustawionego, na marmurowéj płycie, pysznego rojalu Erardowskiego, zasiadł nasamprzód Liszt i energicznie zagrzmiał chórem myśliwych z *Euryanty*. Dreszczem niezwykłego, bo prawie ze strachem graniczącego entuzyazmu, przejęci byli wszyscy, kiedy po pierwszéj pauzie odezwało się najdobitniéj echo... Była to zupełnie nowa, nieokreślona, czysto idealna poezya!... Dłużéj od Liszta rozmawiał z tym duchem Czarnéj doliny Szopen. Wtedy stworzył on cudowne swoje *Impromptu* i wtedy po raz pierwszy zagrał majestatyczną swą aryą: *re bemol*. Następnie śpiewała z wielkim effektem Viardo, romans Paesiella: „*nel cor piu non mi sento.*" Śpiewała jeszcze siostrzenica pani Sand berryjską pieśń narodową, a naostatek, kiedy podano w ogromnéj wazie srebrnéj buchający fioletowym płomieniem *punch-monstre*, wszyscy gromadnym chórem zaśpiewali Echu Doliny — *Dobranoc*.

Tak oddają hołd Bogu, pani G. Sand i jéj przyjaciele!

*Benedykt Dołęga.*

# Podhalanie.

—⊱◈⊰—

Jeżeli nie możemy się uskarżać na brak opisów Tatrów pod względem przyrody, toć tém bardziéj utyskiwać wypada na to, że tak mało dotąd zajmowano się ludem Podtatrza. Oprócz Zejsznera, który zbierał pieśni ludu Podhalan i podał o tymże ludzie krótką wiadomość, i oprócz Goszczyńskiego, który chciał głębiéj wniknąć w duszę górali tatrzańskich, podobno nikt więcej nie zajmował się szczegółowo mieszkańcami Podtatrza, nie starał się zbadać ich zwyczajów, obyczajów i ich przeszłości.

Podhalem nazywają południową część doliny Nowotarskiéj. Nazwa ta pochodzi od Hal wyniosłych, od łąk rozścielonych nad lesistą krainą Regli, a mieszkańcy tamtejsi z chlubą wymawiają to swoje nazwisko, uważając siebie za najszlachetniejszy ród w góralszczyźnie, i za taki też są poczytywani przez wszystkich górali.

Podhalanin w obcéj stronie zapytany — „a zkąd góral?" — dumnie wznosi głowę i odpowiada: – „z Halu". Czuje on się o tyle wyższym od innych mieszkańców gór, o ile Turnie jego Tatrów przewyższają lesiste grzbiety Beskidu. Niewątpliwie bowiem wspaniała wyniosłość natury Tatrów wyrobiła w Podhalanach to poczucie wyższości, które tak ich podnosi, że wymusza uznanie i u sąsiadów. Lud ten odróżnił się tak zupełnie od swoich rodaków z równin, że podobniejszym jest do słowackich sąsiadów ze Spiża, a może nawet do tyrolskich, szwajcarskich i pirenejskich górali, niż do Mazurów, z którymi nie łączy go nic więcéj, okrom spólności języka.

Wsie Podhalan rozsiadłe są długimi rzędami po dolinach, wzdłuż górskich strumieni. Chaty zaś ich i zabudowania gospodarskie, stawiane zwykle z berwion sosnowych albo jodłowych, odznaczają się schludnością i wielkim porządkiem. Zapewne, że do tych porządnych zabudowań przyczynia się niemało obfitość lasu a ztąd łatwość w nabyciu materyału budulcowego, lecz nierównie więcéj pracowitość, trzeźwość, oszczędność, wstrzemięźliwość i przemysł Podhalan. Karczmy w dnie powszednie stoją tam zawsze puste. A jeżeli się napełnią w dnie świąteczne, to i wówczas panuje umiarkowanie. Nie ma zbytku w piciu, nie ma pijanego hałasu, i całą zabawę cechuje pewna powaga i godność. Żyją nadzwyczaj skromnie, tak, że nawet ziemniaki uchodzą u nich za potrawę zbytkową. Mięso tylko w dnie uroczyste zjawia się na stole górala. Za to serwatką owczą raczą się po uszy bacy i juhasy w porze letniéj.

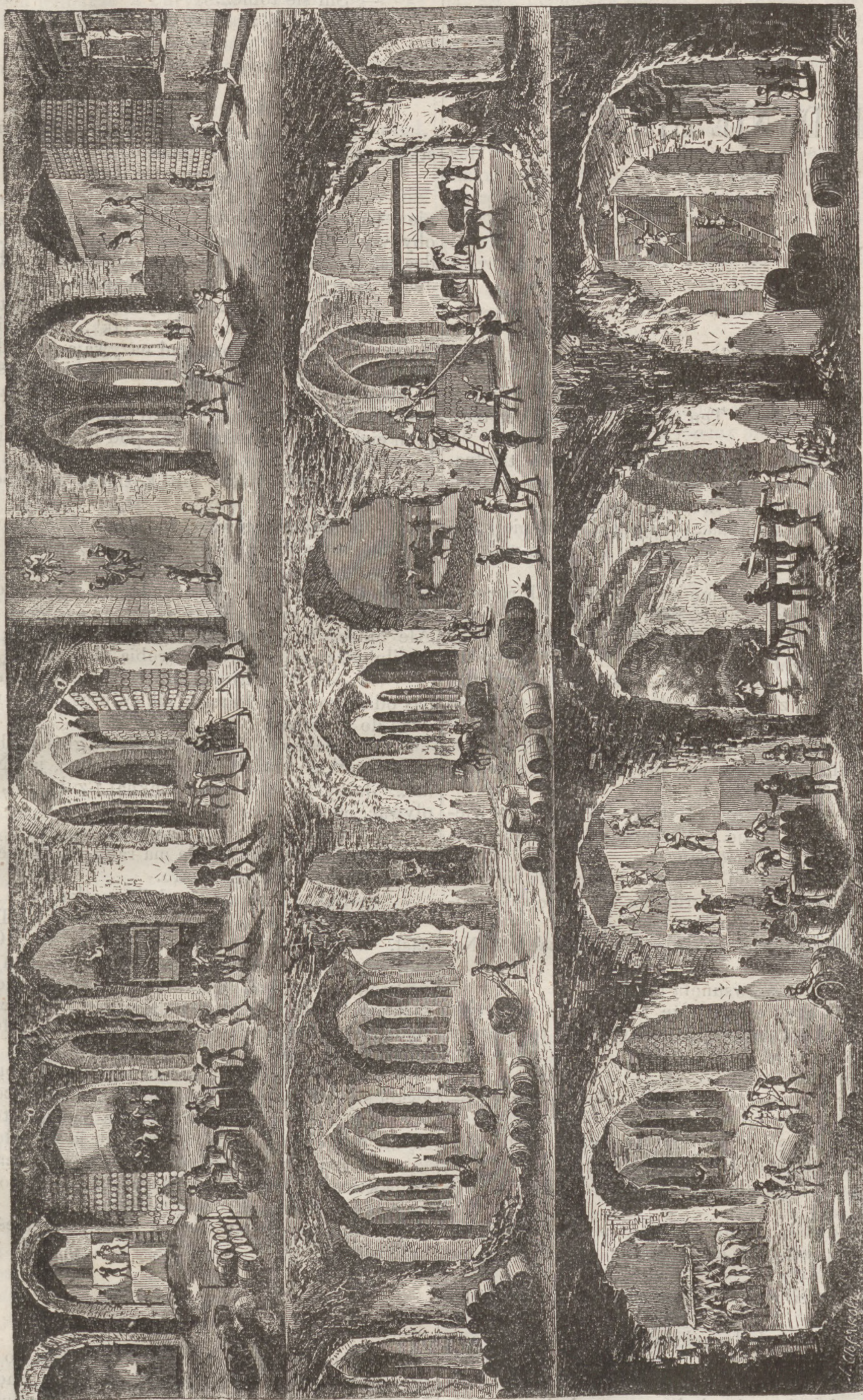
Ziemia rodzinna Podhalan jest prawdziwą dla nich macochą, która ledwie od głodu ich chroni. A przecież kochają Podhalanie tę ziemię jak najlepszą matkę. „Gdzieindziéj ziemia żyzniejsza — mówią Podhalanie — ale ani chleb, ani woda, ani powietrze nie są nigdzie tak zdrowe, jak w naszych górach." Toż zabierz góralowi ten chleb, tę wodę i to powietrze, wypędź go z jego gór, a zatęskni tak serdecznie za niemi, że zmarnieje i zginie. Kilka tygodni oddalenia od rodzinnych gór, wpływa już na jego zdrowie. Zmuszony potrzebą schodzi góral letnią porą na zarobek z kosą lub sierpem aż za Wisłę, ale jak najprędzéj powraca do domu, i za nic w świecie nie zaprzeda się, jak Szwajcar np., aby służyć w obcéj stronie, choćby Bóg wie dla jakiego zysku.

Wzrost ich więcéj jest niż mierny, często nawet wysoki. Budowa zgrabna, lekka a silna. Ruchy pełne życia i zręczności. Włosy czarne, długie, na ramiona spadające. Rysy twarzy najczęściéj piękne i szlachetne.

Ubiór ich wprawdzie zanadto obcisły i kusy, nie jest jednak bez wdzięku i zastósowany jest ściśle do miejscowości, do wspinania się po górach. Spodnie noszą spięte z grubego białego sukna, wyszywane kolorową włóczką. Na nogach zamiast butów, *kierpce*, t. j. kawał skóry zwiniętéj w kształt trzewika, bez osobnéj podeszwy a przymocowanéj rzemiennem sznurowaniem aż do połowy łytek. Krótka koszulka spięta pod szyją ogromną spinką mosiężną, ozdobiona licznymi łańcuszkami i bisiorkami. Na to wszystko guńka biała, długa do bioder, bez żadnego kołnierza i najczęściéj z rękawów spuszczona—a na głowie kapelusz z dnem nizkiém.

Podhalanki są zazwyczaj ściągłe, drobne, proporcyonalne, z włosem bujnym, najczęściéj ciemnym. Ubierają się skromnie, ale gustownie. Nogi swe zawijają w kierpce, podobnie jak mężczyzni, ale w święto używają żółtych safijanowych bucików, na wysokich korkach, które dopiero w pobliżu kościoła wdziewają. Koszulka perkalowa bez kołnierza, wycięta na piersiach. Na koszuli gorset, najczęściéj zielony, materyalny, obszyty galonem po brzegach. Spódnica obszerna, gęsto fałdowana, a na niéj fartuszek muślinowy. Na szyi korale lub paciorki. Włosy splecione w jeden warkocz, zakoń-

WIELICZKA.



Kopalnie soli w Wieliczce (patrz art. J. K. Turskiego, w Nr. 30 Opiekuna Domowego z r. 1868).

czony pękiem wstążek. Strój mężatek ten sam prawie, tylko mniéj ozdób, i głowa zawiązana chustką, któréj szerokie końce spadają na plecy. Wogóle Podhalanki są śmiałe, przytomne, pracowite, łagodne, a przytém i trochę zalotne.

Podhalanie zajmują się głównie rolnictwem, a przeważnie pasterstwem i myśliwstwem.

# OPOWIADANIE STASIA.

## POWIASTKA,

przez

**T. T. Jeża.**

(*Dalszy ciąg*).

— Przeciwnie—przerwała matka—widzieć, wiedzieć i umieć, potrzebuje ten, co nie ma pieniędzy... Ten co ma, może się bez tego obejść...

Dyskusya na tém polu z moją matką była bardzo trudną. Szukałem w głowie argumentów na odpowiedzenie jéj, lecz czułem, że nie na wiele się one przydadzą, gdy wtém wszedł Jaksa.

— Odwołuję się do pana kapitana...—ciągnęła. — Panie kapitanie, co pan na to: Stasiowi zachciało się raptem wszystko widzieć, wiedzieć i umieć?

— Ja na to—odparł Jaksa— że mu się zachciało, jak rozgrymasowanemu dzieciakowi: szybki z okna, kafli z pieca... Na co mu wszystko widzieć, kiedy ja widziałl... na co mu wiedzieć, kiedy ja wiem!... na co mu umieć, kiedy ja umiem!...

W innym razie byłbym się może na Jaksę obruszył, lecz w téj chwili zebrało mi się, nie wiem zkąd, na czułość. Objąłem go jedną ręką wpół, przycisnąłem z boku do siebie i rzekłem:

— A mój-że ty kochany kapitaneczku...

Pierwszy raz zatytułowałem go tym przyswojonym tytułem. To go snadź rozrzewniło. Ciągnął daléj:

— No?... i czegoż chcesz?... Mów... Pytaj... Co chciałbyś wiedzieć?... Niczego przed tobą nie zataję... Wszystko ci opowiem, opiszę, jakbyś tam był... Wszystkiego cię nauczę...

— Jakiż pan kapitan dobrodziéj łaskaw!...—odezwała się matka, patrząc na nas pełnym wzruszenia wzrokiem.—Proszę tylko sobie wystawić, Stasiowi zachciało się do Paryża...

— Zwaryował?!...—podchwycił Jaksa. —Do Paryża?... — No, proszę... A tyś tam po co?...

— Powiada, że po rozum...—wsunęła matka.

— Cha cha cha!... A czy ty wiesz, że i w Paryżu nie robią z owsa ryżu?... Jeżeliś był durniem w Kopystyńcach, to będziesz durniem i w Paryżu...

— O...—wsunęła matka.

— A gdzieżeś się ty tego wszystkiego co umiesz nauczył?...—zagadnąłem.

— No... Ja?... To co innego... Bo ja, to ja, a co ja, to nie ty... Ja, widzisz, nie w samym tylko Paryżu grzybem siedział... Ja byłem i tam, gdzie pieprz rośnie... Toż dla tego ty siebie ze mną nie równaj...

— Broń Boże!...—odparłem.—Ja tego nie czynię i czynić nie myślę... Pragnąłbym tylko widzieć choć tysiączną część tego, coś widział ty...

— Ho ho!...—podchwycił Jaksa.—Ja w to wsadził dziesięć takich Kopystyniec jak twoje... Ale zresztą, na co ci to!... Słuchaj... Przypominasz ty sobie, jaki to ja był smykowaty, kiedym ze Lwowa do Kopystyniec jechał?... A jakem trzy latka w Kopystyńcach posiedział, patrz...

Tu się dłonią uderzył po brzuchu, który rzeczywiście poważnie się zaokrąglił.

— Ot, co to Kopystyńce!... W Kopystyńcach będzie próżno tu (stuknął palcem po czole), ale to błazeństwo; ale za to będzie pełno tu (ukazał na brzuch)... a to grunt... Wierz mi, mój Stasiu, ja ci to powiadam: wszystkie nauki funta kłaków nie warte... Mnie uczeni buty chędożyli...

Matka moja Jaksie, kiwaniem głową, z całego serca potakiwała.

— A przecież —odważyłem się powiedzieć — dawniéj tak się tobie do Paryża chciało...

— Kiedy?...—zapytał ze zdumieniem.

— We Lwowie... Mówiłeś, że drogę można na Kopystyńce obrócić...

— Śni się tobie...

— Mówiłeś, że masz tam proces...

— Jaki?...

— O sukcessyą...

— Po kim?...

— Po Ajaksie...

— Prawda!...—zawołał i w czoło się dłonią palnął.—Ze wszystkiém mi to z pamięci wypadło...

I po chwilce, gładząc wąs, dodał:

— Prawda... Trzeba jechać... Bo to, mamo dobrodziejko, nie o lada kpinę chodzi... O królestwo... Ajaksów było dwóch; obydwa królami; na to są dokumenta, jak byli... Od którego pochodzę ja? o to mniejsza, może od obydwóch... Obydwa marnie zginęli. Jeden zwaryował i w łeb sobie wypalił, drugi się utopił...

— Jezus Marya!...—krzyknęła moja matka.

— Utopił się, i to jeszcze jak!... Z głupich żartów z niejakim Neptunem... Dziś Neptunami nazywają psy, dawniéj tak nazywano bogów... Owóż mój Ajaks chciał sobie usiąść na kamieniu... a zapomniałem powiedzieć, że mu się flota rozbiła, ale on tęgo pływał i wypłynął do kamienia i chciał sobie na nim usiąść... Wtém, Neptun cichaczem się zakrada i z pod niego kamień wymyka, tak, jakby naprzykład, Staś chciał na stołku usiąść, a ja z pod niego stołek wymknął... Mój Ajaks, fajt! koziołka wywrócił... buch, w morze... i po nim.

Opowiadaniu towarzyszyła mimika odpowiednia. Zrobiło ono wielkie na poczciwą moję matkę wrażenie.

— Głupi żart, nie prawdaż?... a z tego powodu djabli wzięli i życie i królestwo... Opowiadał mi o tém z detalijami jeden Francuz, adwokat, który całą tę sprawę na palcach zna... Obiecał pisać. Ale obiecanka cacanka, a głupiemu radość; jak człowiek sam nie dopilnuje, to te szelmy nie zrobią nic...

— Ach, to prawda... z westchnieniem wsunęła matka. — Bóg nas od adwokotów strzegł; ale co brat mego męża, to miał z nimi dużo do czynienia...

— Szelmy!.. — podniesionym głosem dodał Jaksa. Ja bym ich wszystkich chciał dostać na kamień, jak Neptun mego pradziada!... Ja bym im dopiero wymknął i zobaczył, czy tak samo umieją pływać, jak łgać i kruczki zaginać!...

— I nie pisał nic!...—zapytała matka.

— Ani słówka... Nie ma rady, trzeba jechać... Szkoda żeby to tak marnie przepaść miało.

— Szkoda...—potwierdziła matka.

— Boć to, królestwo, hej! nie żarty... Teraz, kiedym się podpasł, mogę być czém chcę..... O! wezmę Greków w łapy... Pojedziemy, Stasiu; zawiozę cię do Grecyi i tam dopiero żonkę ci wyszukam, niebrzydką, cieplutką, dobrą szlachciankę i z niezłym posażkiem... Ha! co?... uśmiechasz się?... Greczynka ci się podoba?... Bądź cierpliwy, już ja ci dogodzę... Tylko kłopot, jak ty z nią będziesz rozmawiał?... Ha!... na migi...

— Panie kapitanie dobrodzieju... — proszącym głosem odezwała się matka.—Ale pan nad Stasiem po ojcowsku będzie czuwał...

— Niech mama dobrodziejka będzie o to spokojną... Nic mu się złego nie stanie... Wykieruję go ja na człowieka...

W ten sposób rozwiązaną została trudna dla mnie do rozwiązania kwestya podróży do Paryża, podróży, do któréj projekt wylągł się z próżniactwa. Próżnię miałem w sercu, próżnię w duszy, próżnię dokoła, chciałem więc ją zapełnić czémeś—czém?—to dla mnie było zagadką.

* *

Przed wyjazdem załatwiłem interesa, to jest, podjąłem kapitały i pozmieniałem pieniądze na weksle. Radziłem się Jaksy pod względem zaopatrzenia się w potrzebne fundusze.

— Ile wziąć?

— Jak najwięcéj...

— Sto tysięcy?...

— Mało...

— Dwakroć sto tysięcy?...

— Cóż to ty sobie myślisz!... W Paryżu tysiąc złotych, zna-

czy tyle co w Kopystyńcach dziesięć dudków... Mnie tysiąc tysięcy wystarczyło jak raz na miesiąc, i to, nie bardzo hulałem...

Szczęście moje, żem nie przyjął ofiary matczynéj, zrzeczenia się na moję korzyść zapewnionego jéj ojcowskim testamentem dożywocia. Ale za to, podjąłem wszystkie kapitały.

Program podróży ułożył Jaksa. Był on krótki.

— Najprzód pojedziemy do Lwowa, a ze Lwowa, najkrótszą drogą... do Paryża...

Pomiędzy Lwowem jednakże a Paryżem, tę najkrótszą drogę tak prostował, że prowadziła na Wiedeń, Sztokholm, Madryt, Neapol, a na moje w tym względzie uwagi odpowiadał:

— Już ty mi tam, proszę ciebie, nie gadaj... Znam tę drogę, jak moje kieszenie...

— Jeografja...—wsunąłem, chcąc go reflektować.

— Co mi tam jeografja!... spytaj no tego co jeografję pisał, czy on tam był... Ja zaś wszystkie ścieżki zdeptałem... Jeografja siedzi mi tu...

Ukazał palcem na nogi. Przytém, o niczém prawie innem nie mówił, tylko o sukcesyi, i mało tysiąc razy, z rozmaitymi, a coraz to nowymi szczegółami, opowiadał śmierć mniemanych swoich przodków, opisując nawet inkrustacye na kuchenrejterze ze szuderem, z którego jeden z Ajaksów w łeb sobie strzelił.

Załatwiwszy interesa, puściliśmy się w drogę.

Matka mnie pobłogosławiła.

— Szczęście moje — mówiła — o które Boga błagam, wciąż się oddala... Może się go już nie doczekam...

Płakała; uspokoiłem ją, pomimo że i mnie na łzy się zbierało.

Pojechaliśmy najprzód do Lwowa. Podróż ta odbyła się tak samo, jak przed trzema laty ze Lwowa do Kopystyniec. Jaksa wzbudzał w żydach postrach i podziw. Ja śmiałem się, biorąc płaskie mego towarzysza koncepty w kursie dobréj monety dowcipów.

We Lwowie zabawiliśmy bardzo krótko. Ruszyliśmy dalej, mimo marszruty Jaksy, nie na Sztokholm, ani na Madryt, ale na Kraków, Drezno, Lipsk i Frankfurt.

W przejeździe przez Niemcy doznaliśmy niemało przykrości, z powodu nieznajomości języka. Jaksa wprawdzie upornie utrzymywał, że nie on a Niemcy po niemiecku nie umieją, i do konduktorów, tregerów, oberżystów i kelnerów mówił po polsku, podnosząc wysoko głos i mięszając tu i owdzie wyrazy niemieckie. Naprzykład:

*Du*, hunctwot, jestem głodny... *gib mir* co jeść, bo zdechnę...

Ten do którego ta przemowa się odnosiła, chciał się, oczewiście, o co chodzi dowiedzieć; więc pytał i taką dostawał odpowiedź:

— Osioł jesteś!... Daj mi co tu... *hier*... Rozumiesz?...

Zrozumiał, ale nie wyrazy, a mimiczne dodatki, powstające z giestów, do kombinowania których Jaksa oczów, gęby i palców używał i którymi swoje żądania uwydatniał.

Z powodu téj językowéj trudności najdłużéj w Niemczech zabawiliśmy w Dreznie. I bylibyśmy zabawili jeszcze dłużéj, ale, po trzech tygodniach, wypędziła nas policya, z powodu awantury, którą Jaksa stworzył na moście. Zachciało mu się koniecznie, wbrew przepisanemu porządkowi, iść stroną lewą. Wachman ostrzegł go raz, ostrzegł drugi, nareszcie, widząc że ostrzeżenia nie skutkują, za rękę ujął i ciągnął na stronę przeciwną. Jaksa wyciął mu za to policzek, przyczém Niemcowi dwa zęby wyskoczyły. Wachmany go natychmiast otoczyli. Wszczęła się bójka. Jaksa bronił się nogami i kułakami. Zbiegli się ludzie. Zrobiła się ciżba. Skończyło się na tém, że potomka królów greckich związanego, odprowadzono do policyi, gdzie postawiono w szeregu kilkunastu Niemców z popodbijanemi oczami, okrwawionemi nosami i napuchłemi twarzami i złożono na stole, jako *corpus delicti*, trzynaście wybitych zębów. W procesie, który się z tego powodu wytoczył, powołany zostałem na świadka do protokułu. Słyszałem więc niektóre zapytania i odpowiedzi.

— Jak się pan nazywasz?

— Jacek Jaksa *fon* Ajaksów Jaksiński...

— Gdzieś się pan urodził?

— W *der die das* Ciemnogrodzie...

— Dokąd pan jedziesz?...

— Do Paryża...

— W jakim interesie?...

— W interesie procesu o sukcesję...

— Dla czegoś pan tak długo w Dreźnie bawił?

— Dla tego, że tu *Mädchen schön*...

— Dla czegoś pan tym ludziom głowy porozbijał i zęby powybijał?...

— Dla tego że ci ludzie *die* głowen i *die* gęben sami mi podstawiali...

Sprawa na tém się skończyła, że musiałem za Jaksę zapłacić karę obrachowaną na kilkaset talarów i dostałem rozkaz wynosić się z Drezna za dwadzieścia cztery godziny, z powodu naruszenia spokoju i porządku publicznego. Dla porządku snadź został nam dodany żandarm, który nas odprowadził do granicy królestwa saskiego.

W owych czasach o drogach żelaznych nikomu się jeszcze ani śniło. Trzeba więc było wlec się dyliżansami, zatrzymywać się tu i owdzie, odpoczywać, noclegować i popasać i przez całą drogę ujadać się z niemiecką flegmą. Niemieckie *langsam* jest w stanie człowieka do rozpaczy zniecierpliwić. Mnie nieraz aż ręka na nie świerzbiała. Jaksa klął od fur, do beczek, od kartaczów, odgrażał się na cały ród Giermanów i zaprzysięgał mu zemstę. Bóg jednakże strzegł. Przewlekliśmy się przez Niemcy i we Francyi podróż poszła składniéj, bo nie miałem wiele ambarasu z językiem, którego jaką taką znajomość wyniosłem ze lwowskiéj edukacyi. Zwalił się atoli na mnie ambaras służenia za tłumacza Jaksie, który po francuzku umiał tyle co po niemiecku, pomimo że utrzymywał, iż mówi jak rodowity Paryżanin. Byłem więc pośrednikiem językowym pomiędzy nim a konduktorami, oberżystami, garsonami, towarzyszami podróży i innymi, z którymi ocieraliśmy się w podróży, a których wszystkich, bez wyjątku, Jaksa nazywał: *cochon*.

— Bój się Boga!...—reflektowałem go, gdym po raz pierwszy ten wyraz do Francuzów zaaplikowany usłyszał. — Co ty mówisz! Czy wiesz co to znaczy?...

— No... co?...

— Świnia...

— A jakżeżbym wiedzieć nie miał!... wiem i właśnie dla tego ich tak nazywam... I Francuz mówi *wuj*, i świnia mówi *wuj*...

— Może cię z tego powodu spotkać awantura...

— Tra la la... Jakbym to ja się awantury lękał...

— Nie o lękanie się tu chodzi, ale o nieprzyjemność... Czy miło ci było być w Dreznie szarpanym, szturchanym i na ławce oskarżonych posadzonym?...

— Było mi miło Niemcom trzynaście zębów wybić...

Perswazya moja ani trochę nie pomogła. Ja swoje, on swoje. Wciąż Francuzów nazywa *cochon*, z dodatkiem *monsieur*. Ten dodatek łagodził nieco obraźliwość wyrażenia, wszelako zdarzali się tacy, którym to wyrażenie i z dodatkiem się nie podobało. Musiałem więc wdawać się i za rozjemcę służyć — i wykomponować tłumaczenie, że towarzysz mój nie umiejący po francuzku, przekręca wyrazy polskie.

(*d. c. n.*)

# WIĄZANKA.

Wiosna w tym roku wcale się nie spisuje. Zimno i zimno. Co tu robić? Czy się do niéj umizgać, czy téż zapomnieć o niestałéj?... Udajmy lepiéj obojętność i przejdźmy do innego przedmiotu. Ale do czego? Możeby co pomówić o Koncertach Bilsego w Dolinie Szwajcarskiéj, zwabiających nader liczną publiczność?— Nie, odłóżmy to na później. Może coś napomknąć o miss Laurze i pannie Spelterini, szczególniejszych ekwilibrystkach, podejmujących się przejechać na welocypedzie po linie około 400 stóp długiéj, a pół cala szerokiéj i wzniesionéj po nad ziemią na sto przeszło stóp, przybyłych do nas aż z Ameryki?... Może coś nadmienić o przedstawieniach w teatrze wielkim magika, mimika i fizyonomisty p. St. Romana?... Może coś o ogrodzie Saskim, o letnim teatrze, o ogródkach i teatrzykach ogródkowych, o majówkach, o wycieczkach do Skierniewic?— Nie, na ten raz dajmy temu wszystkiemu pokój, a weźmy się do... naprzykład, do czego? Nie wiem.—Jakto nie wiem! powinieneś wiedzieć! zawołacie na mnie moi czytelnicy.— A to mi się podoba... nie wiem!— Powoli, powoli, szanowni państwo... Nie jest tak źle jak wam się zdaje. Wiem; tylko nie wiem od czego zacząć. –A, to co innego. Wracamy honor i słuchamy. Słuchajcież.

Naiwne miałem w tych dniach zapytanie.

— Proszę pana, jak się nazywa taka kobieta, która publicznie, każdego, młodego i starego zaczepia?

W miejsce odpowiedzi zaciągnąłem się papierosem.

— A jak się nazywa takie pismo tygodniowe, które również publicznie zaczepia wszystkich i każdego z osobna?

— No, nazywa się tak samo jak powyższa kobieta. Ale do czego te pytania?..

— Tak sobie. Ogłoś to pan drukiem—a ręczę że winny w piersi się uderzy. Mądréj głowie dość na słowie...

— Aha, rozumiem...

Druga rozmowa — o inném piśmie:

— Dla czego *Kłosy* w Nr. 305, na czele, w miejscu gdzie zwykle dają się portrety lub obrazy jakichś znakomitości, umieściły drzeworyt przedstawiający zające?

— Dla tego — odpowiedziałem, nadrabiając miną w obronie pisma —dla tego, że te zające... należą do znakomitości Kłosów.

— Do jakich znakomitości?!

— Zakuta głowo!—do zoologicznych. Te zające odznaczyły się.... te zające.... zające.... Zresztą, daj mi pokój, bo widzę nie znasz się na rzeczy..

— Być może że się na tém nie znam, ale proszę cię powiedz mi dla czego też same *Kłosy* w Nr. 306 w art. *Park w Pilicy*, wydrukowały jedno zdanie, ciągnące się od kropki do kropki przez 19 i $^1/_2$ wierszy!!

— Dla powagi. Przecież pismo poważne musi się czémś odznaczać...

— Aha...

Trzecią rozmowę miałem... ale — dosyć na dziś tych rozmów. Przejdźmy do czego innego.

Ulubione śpiewki z komedyi: *Grzeszki babuni*, śpiewane przez panią Bakałowicz i Popiel, ułożone z akompaniamentem fortepianu przez Jana Tatarkiewicza, art. teatr. warsz., wyjdą wkrótce nakładem Juliana Müllera.

Krakowskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk zostało wyniesiono do godności *Akademii umiejętności*.

W Rossyi ogłoszono konkurs na popularne dzieło, pod tytułem: *Obrona Sewastopola*.

Na tegoroczną reprodukcyą dla członków towarzystwa zachęty sztuk pięknych, wybrano obraz p. Kureli: *Złota rybka*.

Gazeta Warszawska drukuje w odcinku nową powieść z podań szlacheckich J. I. Kraszewskiego p. t. *Zemsta Czokołdowa*.

Dnia 9 b. m. przedstawiono w teatrze rozmaitości: *Skąpca* Moliera. Główną rolę grał, pierwszy raz po powrocie swoim z wycieczki do Poznania, ulubiony i zasłużony nasz artysta J. Rychter—a grał ją tąk, że z pewnością sam Molier, gdyby dziś żył, nie odmówiłby mu swych oklasków.

P. Zygmunt Sarnecki napisał komedyą w 4 aktach p. t. *Bezinteresowni*.

D. Leopold Weitzenblut, akuszer miasta, wydał bardzo pożyteczną broszurę p. t. *Mężatka i matka*. Broszura ta powina znaleść wielkie poparcie u publiczności.



Podhalanie. (Str. 164).

W mennicy Berlińskiéj kują brązowe medale na pamiątkę wojny 1870—71 r.

W Poznaniu nakładem Żupańskiego wyszedł zbiorek poezyj Władysława Bełzy.—

Kazimierz Łada utalentowany i sympatyczny nasz artysta skrzypek, autor dzieła: *Historya muzyki*, leży w nędzy, sparaliżowany i nieszczęśliwy jak Łazarz! Czytelnicy, pokażmy że ten który nas niegdyś wzruszał i czarował, ten który jest naszym bratem, a bratem nieszczęśliwym — nie wygasł z naszych wspomnień, z naszych serc. Pomóżmy mu. Osłodźmy mu może ostatnie chwile jego życia! Redakcya *Kaliszanina* podejmuje się pośrednictwa.

Wydawca *Tygodnika Illustrowanego* rozesłał wszystkim swoim prenumeratorom na próbę pierwszy zeszyt dziełka p. t. *Oblężenie Paryża*, napisanego przez Franciszka Sarcey, a przetłumaczonego podług ósméj francuzkiéj edycyi przez Filipa Sulimierskiego, redaktora *Wędrowca*. Całe to zajmujące dziełko składać się będzie z 8-u zeszytów. Cena pojedynczego zeszytu k. 15.

Komisya archeograficzna w Kijowie wydaje *Historyą zachodnio-ruskich żydów*.

Jan Matejko maluje nowy obraz, odnoszący się do uczczenia pamięci Kopernika.

Kalisz ma być niedługo oświetlony gazem.

M. Dzikowski, w miejsce 8-go zeszytu *Kolców*, kartek humorystyczno-satyrycznych, wydał broszurę p.t. *Ostroga*. *Ostroga* śmiało bodzie i kłuje; dosyć w niéj nawet i dowcipu, ale — zanadto dotyka niektórych osobistości. Jest to jéj wadą. Osobistości powinny być na boku... Po co je podnosić i wywłóczyć z cieniów zapomnienia?...

Wyszedł zeszyt V. *Muzeum Sztuki Europejskiéj*.

Kronika Rodzinna, drukuje dalszy ciąg zajmujących *listów z podróży*, A. E. Odyńca.

I na tém koniec dzisiejszéj Wiązanki.

Przepraszam—nie koniec. Mam jeszcze *Postscriptum:*

W cukierni u Loursa, pewien *ktoś* zawołał, popijając kawę, na usługującego mu chłopca:

— Daj mi do czytania jaką illustracyą!

— Może Tygodnik Illustrowany?

— Głupiś! Daj mi jaką europejską, np. francuzką!

△

**Wydawca**, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою 10 (22) Мая 1871 г. — **Redaktor**, Franciszek Gumowski.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. *b*.